

Niewinni banici

Nie mogę złapać tchu. Rozpaczliwie próbuję się czegoś chwycić, ale jedyne, co mnie otacza, to ciała moich ludzi. Poprowadziłam ich na śmierć...Boże, jaka ja jestem głupia!

Aczkolwiek z innego punktu widzenia jest to chory żart. Nie zliczę, ile razy przechrztałam te żalodne imitacje robotów, które władza ma chęć nazywać "najdoskonalszym cudem techniki". Błagam - gdyby dać Leonardowi da Vinci dwie ładowarki od telefonu i pół złamanej mikrofali, to z całą pewnością mogę stwierdzić, że stworzyłby coś godniejszego "jej królewskiej mości" - a urodził się ponad 1000 lat temu. W zasadzie gra w kotka i myszkę ze strażnikami też była całkiem zabawna. Tyle razy szłam w tango ze śmiercią na różne wymyślne sposoby a przyszło mi banalnie utonąć. Chory żart.

Czuję, że już po mnie. Nie mam siły. Nagle ktoś chwyta mnie za kurtkę...

Głuchy huk, odłamki szkła wbijające się głęboko w twarz i pierwszy oddech. Nie wiem co się wokół mnie dzieje. Leżę naga na zimnej posadzce w kałuży dziwnej, półprzezroczystej substancji, jakbym ponownie narodziła się. Próbuję się podnieść, ale brak mi sił. Wokół mnie znajdują się szczątki kapsuły do hibernacji. W tej ogromnej sali otaczają mnie setki podobnych ludzi.

Wtedy go pierwszy raz ujrzałam.

...I budzę się nagłym ciosem wymierzonym w twarz przez mojego wybawcę. Do tej pory nie rozgryzłam, jakim cudem ten dzieciak zdołał mnie przenieść z rzeki do bazy, jednak wtedy chciałam wiedzieć tylko jedno:

- Wszyscy?

-Tak.

Zwymiotowałam.

Siedzieliśmy tak jeszcze przez kilka godzin. W ciszy. On przy prowizorycznym stole zrobionym z resztek statku strażników tej wiedzy - ja na łóżku z dwóch palet i starego, zatechłego materaca. Pogrążeni w żalobie. Czułam się okropnie. Po raz pierwszy nie mogłam znieść że mam czyjaś krew na rękach. Ci ludzie zginęli przeze mnie. Zabiłam ich. Zabiłam jedyną nadzieję dla naszego kraju.

Boże!

On nic nie powie. Jest twardy jak na dzieciaka, nie każdy od tak pójdzie do jednego z oddziałów partyzanckich, szczególnie od kiedy zaczęto każdemu zaraz po urodzeniu wczepiać czipy ukazujące lokalizację i nie - w szpitalu nikt go od tak nie usunie (robimy to sami dla jasności - w prowizorycznych podziemnych bazach na terenach zapomnianych przez Boga - tylko tu władzy nie chce się wysłać patroli). Ponadto za działalność konspiracyjną zwróconą przeciwko reżimowi "jej wysokości" od razu jest jeden z najgorszych wyroków. Pod skórę wszczepia się coś w stylu takich tabletek, kiedy ich ścianki się rozpuszczą, wydostają się z nich takie specjalnie zmutowane bakterie. Na każdego działają inaczej, raz "zjedzą" człowieka żywcem od środka a raz tylko doprowadzą do śmierci mózgu. Nazywamy to czarną ruletką, nigdy nikt nie wie na co może trafić, dlatego wszyscy się tak tego boją.

Widzę jednak kątem oka jego łzy. W końcu wysłałam naszych ludzi na rzeź. Przeze mnie nie żyje jedyna rodzina chłopaka, który już drugi raz uratował mi życie.

Cały czas w snach przesładuje mnie ta akcja z obiektu laboratoryjnego. Oddział planował uwolnić wszystkich, ale zdążył tylko mnie, pewnie dlatego, że moja kapsuła była pierwszą z brzegu.

Do tej pory nie wierzę w to, że przyszło nam żyć w społeczeństwie, w którym rząd uprowadza obywateli w celu przeprowadzania na nich eksperymentów. Spędziłam w hibernacji 22 lata, jednak w ogóle nie było tego po mnie widać. Dalej wyglądałam na 30 lat. Postanowiłam przyłączyć się do Jastrzębi, po paru latach zostałam jego przywódczynią, poprzedni dowódca zginął w walce. Wybrał mnie jeszcze na łożu śmierci. Do tej pory pamiętam jego spokój w oczach, podczas gdy ja próbowałam za wszelką cenę zatamować krwotok. Złapał mnie za rękę i powiedział słowa, których nigdy nie zapomnę : „Obal żmiję. Dasz radę!!!”

Tyle że nie dałam. Zawiodłam.

- Co Ty sobie w ogóle myślałaś?

Odpowiedziałam ciszą.

- CO TY SOBIE W OGÓLE MYŚLAŁAŚ?!

- A CO MIAŁAM MYŚLEĆ?! Z tym wirusem komputerowym cały system kontroli upadłby. Bylibyśmy wolni. Reżim upadłby. Jego transport ze stolicy do miasta nad rzeką był doskonałą okazją. Przecież wiesz. Sam dałeś nam cynk. Pewniak, który...

- ... I ŻAŁUJĘ! Moi przyjaciele nie żyją! Nasi ludzie polegli. Zostaliśmy sami. Nie możemy nawet powiadomić oddziału z drugiej strony rzeki bo nasz łącznik pływa rozpruty w wodzie! Do tego...

Już go nie słuchałam. Patrzyłam tylko tępym wzrokiem na krzyczącego piętnastoletniego dzieciaka, który powinien teraz siedzieć w szkole, a nie dziesięć metrów pod ziemią. Czułam jego ból. Moi rodzice i siostra zostali skazani na czarną ruletkę. Nigdy się nie dowiedziałam, jak dokładnie zginęli. Z racji tego, że jest to jedno z moich ostatnich wspomnień z tamtego okresu, władze musiały mnie zgarnąć na eksperyment *Borsuk* parę dni później.

Zanim opuściłam w nocy naszą norę i upewniłam się że zasnął, napisałam, gdzie ma się dokładnie udać i co zrobić. Zostawiłam też nabitą broń oraz zapas podkówki, mówimy tak potocznie na urządzenie zagłuszające odgłosy np. kroków, oddychania a nawet bicia serca. Jakkolwiek by źle nie mówić o androidach służb, wyposażono je w doskonały ‘słuch’. Z reguły nie kręcą się po takich miejscach jak to, ale zawsze lepiej być przygotowanym. Tak. Młody będzie wiedział, co robić. Nie muszę się o niego martwić. Poradzi sobie.

Musiałam się napić.

- Nie łam się, to nie twoja wina.

Słowa Al mnie jakoś wielce nie przekonały. Musiała to zauważyć, bo zaraz szybko dodała:

- Nikt nie mógł przewidzieć, że już użyją *Ester*.

Estery, czyli ostatni wynalazek ludzi z góry. Bombki cechujące się zastosowaniem jakby lustrzanej pokrywy, niewidzialne mówiąc w skrócie. Nie widać nigdy, z której strony lecą. Były jeszcze w fazie testów. Użycie ich było najmniej spodziewaną przez nas zagrywką Madison, kobiety, która wypowiedziała nam wojnę i wygrała.

Zagarnęła sobie nasze ziemie, o które teraz musimy walczyć.

Siedziałam w tajnej karczmie. Wstęp do niej miały tylko osoby wtajemniczone.

- Co teraz zamierzasz?

-Nie wiem.

- Co zrobiłaś z Młodym?

- Nie martw się, wysłałam do Starego Niedźwiedzia. Będzie wiedział, co robić.

- W takim razie jest bezpieczny.
- Wiem tylko tyle, że jak odejdę, to już tu nie wrócę.
Zauważyłam, jak mina jej zrzędną. W ciągu tych paru lat służby zaprzyjaźniłam się z nią, a żyję w czasach, w których nie można nikomu ufać. Każdy może być szpiegiem. Zawsze jedna mogła się drugiej wygadać. Ona też dużo przeszła. Ten klub prowadzili w przeszłości jej ojciec z ciotką. Pewnego dnia wpadli strażnicy i wiadomo jak to skończyło się. Niedługo później Al wznowiła działalność w tajemnicy. Mam jednak wrażenie, że nigdy się nie pozbierała. Często podczas wycierania szklanek za ladą odpływała. Jej oczy robiły się jakby martwe i wpatrzone ślepo w niewidzialny punkt. Każdy wiedział, o czym myślała, gdy tak zamierała w bezruchu.
- Ale dziewczyno - zaczęła - nie możesz mnie tu tak zostawić.
- Przykro mi, ale nie mogę tu dłużej zostać. Wszystko mi się kojarzy z tą tragedią. Muszę odejść przynajmniej na jakiś czas. Planuję działać od tej pory sama, by już nigdy nikogo nie narazić. Zbyt wiele ludzi oddało życie za naszą wolność. Nie możemy się poddać.
Jeszcze nigdy tak długo się nie przytulałyśmy.
- Czyli nie składasz broni?
- Nigdy!

Droga bardzo dłużyła mi się. Minęłam po drodze wiele zbombardowanych miejscowości. Tylko gdzieśgdzie można było dostrzec ludzi. Próbowali żyć mimo wszystko normalnie. To okropne, że historia zatoczyła koło.

Kontrast między wsią a miastem był ogromny. Tutaj ludzie klepali biedę. Żyli w nędznych, prowizorycznych chatach, nie było kompletnie na nic pieniędzy. Z oddali za to było widać wspaniałe posiadłości i drapacze chmur bogatych ludzi z miasta, Madison kupiła sobie ich poparcie. Teraz nasza "elita" biegnie za nią jak jakieś pieski salonowe mające nadzieję na kość utrzymaną za jej plecami. Żałosne!

W końcu dotarłam do głównej bazy - Wilków. Przekazałam im wszystko co wiedziałam na temat wirusa. Każda informacja była na wagę złota.

Teraz stoję na brzegu klifu. Moje ciało pokrywa historia zapisana w bliznach. Przetłuszczone włosy opadają mi na ramiona a na oku mam przepaskę. Pode mną rozciąga się lustro wody. Gładkie. Żadnej fali. Zupełny kontrast do oceanu rozpaczy w mojej duszy. A tu nic - śladu sztormu, który czuję.

Pamiętam kiedy przyjeżdżałam nad morze jako dziecko. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Wszystko było takie łatwe.

Nie mam pojęcia, co ze sobą zrobić. Wiem tylko tyle, że nie przestanę walczyć. Zbyt wielu zginęło. Jednak na pewien czas powinnam się gdzieś zaszyć, moja twarz ostatnio gościła na listach gończych zbyt często, jestem jedną z najbardziej poszukiwanych osób z ruchu oporu. Podejrzewam ponadto, że akcja sprzed dwóch tygodni mi wielce nie pomogła.

- Hej!- krzyknął ktoś zza moich pleców.

Nie minęła sekunda jak dobyłam broni spod pazuchy płaszcza i wymierzyłam między jego oczy. Wiedziała, że nie był to strażnik, - wtedy w najlepszym wypadku już bym była martwa.

Przede mną stał facet mniej więcej w moim wieku. Musiał jakimś cudem uciec z więziennego obozu pracy. Poznałam to po jego łachmanach i wytatuowanym symbolu na policzku.

Zwiesił broń. Był jednym z nas.

- Jak ci się udało?
- Cóż..
- Albo nie kończ, im mniej wiem tym lepiej.
- A przedstawiś mi się chociaż?
Milczałam przez chwilę. Nie wydawał mi się szkodliwy, to po pierwsze, poza tym nie miałam w sumie nic do stracenia. Wszystko zostawiłam za sobą. Tak jak on.
- Maria.
Nie czekając na jego reakcję ruszyłam przed siebie mijając go. Jak się domyśliłam dotrzymywał mi kroku.
- Markus - i to nie było ostatnie, co powiedział przez resztę drogi.
W zasadzie cieszyłam się, że go spotkałam. Przynajmniej mogłam myśleć o innych rzeczach niż tych, którymi się cały czas zadreślałam.
Okazał się naprawdę spoko gościem. Był nauczycielem języka polskiego, czytał uczniom zakazane przez władzę teksty. Jeden z dzieciaków "elity" na niego doniósł. Tak znalazł się w więzieniu.
Dołączyliśmy się do jednego z oddziałów i służyliśmy razem przez rok.
I wtedy dopadło mnie jedno z najgorszych nieszczęść, jakie może spotkać człowieka.
Zakochałam się.
Było nam razem doskonale. Często wpadałam do Al i Starego Niedźwiedzia - tajnego domu dziecka prowadzonego przez mojego dobrego znajomego, gdzie chłopak mieszkał przez ten czas.
Młody bez wahania wszedł w nasze szeregi.
-Maryśka wstawaj! Nie ma czasu!
Zaspana i zdezorientowana spojrzałam na Markusa.
- Wszyscy ludzie wyszli na ulicę. Teraz mamy szansę!
Więcej nie było mi trzeba. Zabrałam swoją ulubioną broń - łuk maszynowy - i dołączyłam się.
Pamiętam tylko czerwony dym i zapach krwi. Byłam cała poraniona. Zużyłam swoje wszystkie groty na robotyczne androidy. Już miałam sprzątnąć następnego za pomocą tłuczka (nasza potoczna nazwa na połączenie czegoś w rodzaju karabinu i granatu ręcznego), kiedy poczułam silne uderzenie w tył głowy.
Wszystko zrobiło się czarne.
Wygraliśmy! Walki trwały parę dni - a Wilki przechwyciły wirusa i cały system kontroli padł!
Po paru godzinach bitwy zostałam trafiona jakimś odłamkiem w tył głowy.
Zostałam szybko przetransportowana do prowizorycznego szpitala polowego, w którym się obudziłam przez mojego niedawno poślubionego męża.
Udało mi się przeżyć - w przeciwieństwie do Młodego..
Mój stan zaczął się wkrótce pogarszać - do rany w brzuchu wdało się jakieś zakażenie. Wymagałam przeniesienia do prawdziwego szpitala, te oczywiście w związku z rewolucją nie działały jak zwykle. Nie mogłam więc niczego oczekiwać.
Markus wniósł mnie na rękach i położył na pierwszym łóżku z brzegu przy drzwiach. Budynek pękał w szwach a było zbyt mało lekarzy. Prawie nic nie widziałam. Miałam mroczki przed oczami. Lekarza, który do mnie podszedł jednak od razu poznałam.
-Siostra...???

